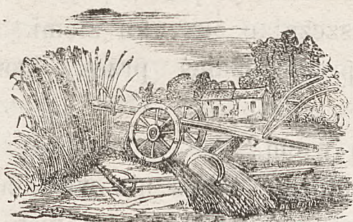
Tom II. 1. Września 1870. Nr. 7

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Od redakcyi.

W odpowiedzi na podanie nasze do wysokiego Wydziału krajowego o poparcie wydawnictwa Dzwonka, wysoki Wydział krajowy reskryptem L. 10348 z dnia 16 Sierpnia b. r. Dzwonkowi subwencyę w następujących słowach przyznać raczył:

„Wydział krajowy w uznaniu zacnych dążności i kierunku moralnego, czasopisma „Dzwonek“ widzi się spowodowanym udzielić temu czasopismu jednorazową subwencyę w kwocie Dwiestu złr. w. a. W tym celu poleca kasie krajowej, ażeby kwotę tę Dwiestu zł. Redakcyi wypłaciła z funduszu krajowego.“

Podając czyn ten do wiadomości szan. czytelników naszych, wyrażamy nasze najgorętsze podziękowanie wysokiemu Wydziałowi, tak za uznanie dążności naszego pisma, jak nie mniej za łaskawie nam udzieloną subwencję, która dalsze wydawnictwo Dzwonka stanowczo zapewniła.

Chleb ma rogi.

IV.

Ludzie zobaczywszy aż trzech żandarmów razem przybyłych do wsi, niezmiernie się zdziwili i prawie wszyscy powychodzili z chałup. Lecz zadziwienie ich jeszcze się bardziej powiększyło, kiedy zobaczyli i wójta i żandarmów, wchodzących na podwórze domu Patyjakowej. Na rozkaz wójta przywołano wszystkich domowników.

— Gdzieś wczoraj dzień przepędził? zapytał wójt Walka.

— Byłem w kościele a potem w domu, odrzekł Walek z pomieszaniem spuszczając oczy ku ziemi.

— A z kim przejeżdżałeś przez Domanice wasągiem i parą końmi?

— Czy ja tam wiem?

— Jakto być może, żebyś nie wiedział z kim jechałeś?

— Ja już dobrze nie pamiętam nawet czy jechałem, czy szedłem piechotą.

— Niebożątko! mruknęła miłosiernie matka.

— Ślad wskazał, żeście z drogi nagle zwrócili w stronę Gazdowa. Musiałeś więc ludzi tych przyprowadzić do domu matki.

— Albo ja tam mogę to pamiętać.

— To sobie przypomnisz później. Pytam was teraz matko Patyjakowa, czy ci ludzie byli w nocy u was?

Patyjakowa głośnym załkała płaczem, a nie chcąc wyjawiać opilstwa syna jak równie i zapierać, zaczęła narzekać.

— Tak nas wypytujecie jak jakich złodziei, czy to my zasłużyli na taką poniewierkę, czy to nam dowiedziono kiedy jakiego złodziejstwa?

Wójt zwrócił się z zapytaniem do służących i ci opowiedzieli swoje zadziwienie z zobaczenia na podwórzu śladów obcego jakiegoś wozu, i że gospodyni starała się przekonać ich, że to są ślady ich własnego wózka, które jednak później cichaczem zacierała.

Patyjakowa ciągle płakała sama nie wiedząc co robić; Walek stał jak błędny nie umiejąc się ani tłomaczyć ani usprawiedliwić. Niejasne jego odpowiedzi jakby wykrętne, jakby tające prawdę, co było tylko wynikiem odurzenia i zatracenia pamięci, obudziły ogólne podejrzenie. Wójt więc przeprowadziwszy badanie rzekł:

— Jesteście oskarzeni o wspólnictwo w kradzieży pary koni o mil dwanaście ztąd dokonanej, a że z odpowiedzi waszych widać, że podejrzenie jest słuszne, więc zostajecie aresztowani aż do ukończenia całej sprawy.

Rozpacz matki nie miała granic, wyznała więc całą prawdę jak było, ale tem już nie wyratowała się bo dla czegóż, powiedział wójt, odrazu do tego się nie przyznała. Jeżeli

skłamała raz, mogła i drugi raz to zrobić, sąd więc właściwy roztrzygnie dopiero, czy podejrzenie o wspólnictwo jest słuszne czy niesłuszne. Gdyby Walek był zajrzał pod beczkę z owsem w komorze stojącą, wykrywszy zabór krwawo przez ojca zapracowanego grosza, byłby najlepszy złożył dowód swojej niewinności i przekonał wszystkich, że był tylko ofiarą niegodziwych ludzi i swego głupstwa. Ale Walek nieznający jeszcze ludzi, nawet nie przypuszczał podobnego podejścia, więc zajrzenie do komory nie przyszło mu nawet do myśli. Matka zaś z pieniądzem kryła się, i gdzie go chowa nie wyjawiłaby za nic w świecie. Przy odjeździe jednak obwinionych, stryj Patyjak jako zostawiony do nadzoru opuszczonego gospodarstwa, szepnął do bratowej:

— A gdzie macie pieniądze? W takim wypadku musicie mi je pokazać i przeliczyć.

Beczkę znaleziono w swojem miejscu, ale po odsunięciu pokazał się próżny dół w glinie wybrany. Pieniądze przepadły bez śladu. Biedna Patyjakowa z przerażenia o mało nie padła trupem, mimo tego razem z synem zawieziono ją do aresztu sądowego. Śledztwo trwało długo; wykryta kradzież pieniędzy wiele na ich korzyść przemawiała, ale sąd uznawszy, że mogli być razem wspólnikami kradzieży koni i przez wspólników okradzionymi, nie dozwolił ich wypuszczać z więzienia. Stryjowi poczciwemu o mało serce nie pękło z żalu, na taką poniewierkę nazwiska Patyjaków powszechnie szanowanych. Był pewny niewinności synowca i bratowej ale na to trzeba było dowodów, a tu właśnie dowody przeciw nim świadczyły. Na szczęście trzeciego dnia złapano jednego z obwinionych. Był to tak zwany Adaś, ale go uchwycono samego bez koni i pieniędzy; na zapytanie zaś gdzieby byli wspólnicy, odpowiedział że nie wie, i że ci zaraz po zabraniu pieniędzy Patyjakom, zrucili go z wozu i uciekli ku granicy pruskiej. Przy naocznej konfrontacji Adaś zeznał wszystko jak najprawdziwiej, a na zapytanie sędziego, jakim sposobem poznali się z Walkiem, odrzekł:

— Z ubrania choć wspaniałego poznaliśmy proszę pana sędziego, że to prosty człowiek: z woreczka z pieniędzmi że syn bogatego ojca, a z mowy i butności, że głupi jak

baran. Od ludzi dowiedzieliśmy się co za jeden, poczęstunkiem rozwiązaliśmy mu język, pochlebianiem przyciągnęliśmy go do siebie, gorzałką odebrali rozum, a że dla głupiego więcej nie trzeba, więc nas sam ledwo do pieniędzy nie doprowadził. Z głupim to zawsze łatwa sprawa.

Przy tej indagacji Patyjakowa, za takie zadawanie jedynakowi głupstwa, gdyby mogła byłaby mu język wyrwała. Walek zaś jakoś oprzytomniał i rzekł:

— Żem był głupi to prawda, ale acpan sto razy głupszy odemnie, bo ja z głupstwa przyszedłem do rozumu, a acpan z wielkiego niby rozumu do więzienia.

Tego samego jeszcze dnia matka z synem po tygodniowym areszcie, powróciła do domu. Zastali wszystko w najlepszym porządku, a nawet w lepszym jak odjechali, bo stryj Jakób był i rozumnym człowiekiem i pracowitym a przytem uczciwym jak rzadko. Kiedy stanęli w izbie i zobaczyli się znowu we własnym domu upadli najprzód z płaczem na kolana przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i pomodliwszy się z dziękczynnością rzucili się w objęcia stryja Jakóba, który z gołą głową stał przy progu i szeptał po cichu pacierze.

— Mój bracie drogi: zawołała Patyjakowa a Walek dodał, mój ojcze! i ucałował rękę statecznego człowieka.

— Moi drodzy, szepnął rozrzewniony Jakób i za cóż mi tak serdecznie dziękujecie?

— Za poczciwość waszą bracie, za rozumne wasze słowo dołożył Walek, o gdybym ja kiedy doszedł do waszego rozumu!

— To łatwo mój Walusiu. Pracuj, unikaj złych, rozumnych słuchaj i staraj się czytać dobre książki a przejdziesz jeszcze mnie w rozumie. Bez tego pokazałeś, że nawet sobą radzić nie umiesz, jakiż więc byłby z ciebie doradca, gdyby cię obrano na niego w gminie albo i w sejmie dla całego kraju?

— To u was szukałbym rady, odrzekł Walek, bo do ciaracha w surducie nawet się nie zbliżę. Nauczyli mnie rozumu!

— Nie ubiór moje dziecko stanowi człowieka, ale rozum w głowie a poczciwość w sercu. Tak samo prostak może być nicponiem jak i ten co niby wiele umie. Nie od surduta więc uciekaj, ale od złości ludzkiej, i jeżeli pragniesz odmiany według swego mienia, to jej nie zaczynaj od przyodziewku,

ale od spojrzenia, co się to tam w świecie dzieje. Jak się to tam uczą, jak czytają, jak radzą o sobie i jak rozumnie we wszystkiem postępują. Świat przystrój ceni i często według niego osądza człowieka, ale to tylko głupi tak robią a rozumni omijają szatę a pilnie baczą co człowiek mówi i jak postępuje. Tak samo w siermiędze prostej można być dobrym obywatelem kraju i zasłużyć na wdzięczność ziomków jak w sajecie i złotogłowiu. Na rozumnym i poczciwym nawet zgrzebne płótno przyświeca niby drogiemi kamieniami, bo mu z oczów i twarzy anielstwo przegląda, na głupim nawet milijony się nie wydadzą i zawsze głupiec głupim pozostanie.

Walek westchnął a stryj mówił dalej:

— Nieszczęście w jakie popadłeś moje dziecko, to głównie wyszło z tego, że chleb ma rogi. Pieniądz po ojcu oszołomił cię, myślałeś że masz skarby niewyczerpane i dla tego pracą zacząłeś się brzydzić. Gdyby w głowie u ciebie nie było pstro, ale tak jak wypada, rękom nigdy w pracy nie robiłbyś folgi, tak jak to czynił ojciec twój nieboszczyk. Rozumny wie, że praca to nakaz Boski i jako taka daje pomyślność i szczęście prawdziwe; głupi zawsze garnie się do próżniactwa bo mu poważne pomyślenie nawet w głowie nie postoi. Napchać brzuch, leżyć na murawie lub na posłaniu pod pierzyną i nie robić, tylko przekładać się z boku na bok, patrzyć w sufit i gryźć słomkę w zębach to ich jedyne szczęście. Zwierz także niczego innego nie łaknie, ale dla człowieka to mało. Rozum odróżnia człowieka od zwierza ale ten rozum aby nie stał w miejscu i ciągle szedł naprzód, musi być ćwiczony nauką i czytaniem. Gdy tego nie robi to zdrzewnieje, stanie się pełki jak ziemiaki gdy nowe zaczną kwitnąć.

Walek zawstydzony, smutny wysłuchał tej rozumnej mowy w milczeniu. Później chwycił się pracy z wielką gorliwością, w dnie powszednie chwilki nawet na próżniactwie nie zmitrężył, w dzień zaś świąteczny po nabożeństwie i wypoczynku szedł do stryja i tam wraz z drugimi parę godzin przepędzał na słuchaniu czytania i na rozmowie o tem co przeczytano. Dziś już ma żonę i dziatki, ma chleba po pas, ma i uważanie we wsi, bo w głowie ma jaśniej niż dawniej. On to najwięcej nastawał na założenie we wsi czytelni skład-

kowej, on zawsze jest pierwszy gdy idzie o szerzenie nauki i nie szczędzi nigdy namowy i przyłożenia do tego ręki. Dla stryja poszanowanie jego nie ma granic, choć jest gospodarzem już i ojcem zawsze go całuje w rękę i powiada że to największy jego dobrodziej. Rada poczciwa i rozumna więcej znaczy jak skarby całego świata. Próżniaków tylko cierpieć nie może i jak tylko którego z siąsiadów widzi opuszczającego się w pracy, świętującego w dzień powszedni i uganiającego się za zabawą jak dziecko za motylem, zaraz mówi:

— Oho! już mu z chleba wyrastają rogi i zabodą go jeżeli się nie upamięta.

Jan Kanty Gregorowicz.

Obraz prawego rolnika.

Niech tam kto chce jak chce plecie
U mnie zgoda — to najlepsze;
Ona szczęście rodzi przecie,
Ona zacność mą podeprze.

Gdzie niezgoda się zakradnie,
Tam nic pewnie nie powstanie;
A co stało, to upadnie
Toż w następstwie narzekanie.

Choć mi Bóg dał większe mienie,
Przez to więcej ja nie znaczę;
Jedno mamy przeznaczenie
Jak ubodzy tak bogacze.

Wszystkich cenię więc zarówno,
A jak mówię tak też czynię;
Jedność u mnie rzeczą główną,
Byśmy żyli jak w rodzinie.

Gdy mi więcej Bóg udzielił,
Z drugim chętnie się też dzielę —
By i biedny się weselił,
I on winien mieć wesele.

Kochać kazał Bóg bliźniego
Czy on biedny lub bogaty,
I życzliwym być dla niego,
Choćby nie miał własnej chaty.

Józef z Bochni.

Nad kołyską.

Wieczór już!
Synu oczka do snu zmruż;
Niech sen złoty — marzeń roje
Opromienią skronie twoje
Niby wianek z krasnych róż —
Spij więc już.

W cichym śnie
Niech twa myśl do szczęścia lgnie,
Niech się swiat rozsłoni tobie
W całej złudzeń swych ozdobie
O bo złudzeń słodkich dnie
Tylko w śnie.

Świata dłoń
W cierń owije twoją skroń;
Twoim myślom zedrze puchy,
Ducha złamie na okruchy —
Snem więc, nim tam pójdziesz doń,
Szczęście goń.

Śnij więc — śnij!
Z kwiatów marzeń wieńce wij,
Włóż je na twe młode skronie,
Z nich cię rajska woń owionie,
Ty ją piersią całą pij —
Spij już — spij!

Franek z nąd Lipy.

Mosty wiszące w Ameryce.

W dawnych, dawnych czasach, kiedy to jeszcze ani nawet wsi porządnych, ani gościńców nie było, oczywiście i mostów nie znano. Gdzieś na brzegu strumienia stało wysokie drzewo, burza je obaliła, tak że wierzchołek padł na drugi brzeg strumienia i tym sposobem powstał pierwszy most na świecie. Najprzód zwierzęta, a potem ludzie, z bojaźnią, bo się chwiał pod nogami, przechodzili po nim. Z czasem oswoili się ludzie z chodzeniem po mostach, uznali ich pożyteczność, potrzebę i odtąd nie czekali już aż burza przypadkiem most im na rzece wystawi, lecz sami ścinali drzewa i sami kładli je tak aby po nich można było wygodnie i bezpiecznie przechodzić. Obok jednego drzewa położono drugie, na tych dwóch w poprzek deski i tak zrobiono most szeroki, po którym i jeździć można było. Ale rzeka wezbrała i most uniosła ze sobą. Trzeba więc było myśleć o trwalszej budowie i zaczęto mosty coraz bardziej udoskonalać. Tysiące lat minęło od tego czasu. Rozum ludzki, oświata, wszystkie sztuki i rzemiosła postąpiły wysoko, dzieła rąk ludzkich zdumiewają doskonałością, ogromem, wytwornością i mosty stają dziś takie o jakich się nikomu przed wiekami nie śniło. Już nietylko drewniane, ale i kamienne i żelazne mosty budują, nietylko niezmiernie trwałe, ale i bardzo ozdobne.

U nas jest dawne przysłowie: polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo wszystko to błażeństwo. Wielką prawdę to przysłowie zawiera, bo Niemiec gdy pości, najbardziej tyje jedząc i pijąc dwa razy tyle co w inne dnie: Włoch gdy się modli nóż chowa w zanadrzu i prosto z kościoła idzie rozbijać, a polskie mosty często pełne są dziur, w których konie i ludzie wykręcają nogi. Nie ma się co tam

chwalić, ale co prawda, to prawda. Nieraz gdy trzeba mizerny mostek przez kałużę postawić, to się gromada długie lata namyśla jak się wziąść do tego. Wjednej wsi wójt dwa razy topił się w kałuży, na której mostu nie było, dalejże więc nalegać na gromadę aby most postawiła. Gromada nie chciała, wybrał się więc ze skargą do powiatu, ale na odchodnem podchmielił sobie i wpadłszy w kałużę utonął. Już z jego kości ledwie proch w święconej ziemi leży, a mostku tymczasem jak nie ma tak nie ma.



Jakie w Ameryce mosty napotykać można w kraju który się zowie Peru, to dzisiejsze ryciny przedstawiają.

O tych mostach czytamy w jednej książce co następuje: Rzeki i strumienie w Peru przebywa się po większej części na mostach wiszących, które budują w szczególny sposób, za pomocą grubych lin uplecionych z wikliny, przeciągniętych od jednego brzegu do drugiego. Trzy albo cztery liny utrzymają cały most. Na tych linach układają w poprzek trzcinę

przytwierdzając ją po końcach bardzo szczelnie. Niekiedy po obu stronach idzie poręcz upleciona także z liny.

Po takich to lekkich mostach które wiatr kołysze w powietrzu, przechodzą i ludzie i bydlęta przenosząc nieraz znaczne ciężary.



Okoliczne wsie obowiązane są czuwać nad mostem, który co dwa lub trzy lata potrzeba odnawiać. Wieśniacy znoszą na miejsce potrzebną ilość giętkiej wikliny, uplatają z niej

grube warkocze i przy pomocy rybaków przerzucają je przez rzekę.

Niepodobna mówić bez trwogi o takim moście wiszącym, a kto go przebył raz w życiu już go nigdy nie zapomni. Wydaje się on słaby jak pajęczyna i wiatr kołysze nim na wszystkie strony, że zaś jest w środku obwisły, chcąc więc iść po nim trzeba się najprzód spuszczać w dół, a potem drapać pod górę, przytem poręcze najczęściej bywają popsute, a tak jeden silniejszy podmuch wiatru, jedno nieostrożne stąpnięcie może podróżnego łatwo o śmierć przyprawić.

Nie myślcie jednak, że wszędzie w Ameryce takie są mosty. Ameryka ma wielkie i bogate miasta w których budowle wodne bynajmniej naszym nie ustępują, a mosty wiszące widzieć można tylko w okolicach mało jeszcze zaludnionych i prawie puszczom się równających.

Wychowanek wioski.

IV.

Jeszcze więcej zadziwił się Maciej gdy za kilka dni syn jego nagle z Krakowa przyjechał. Zawsze o swoim przyjeździe uwiadamiał ojca przez list, a teraz nagle przyjechał i zaraz ojca za sobą do komory pociągnął. Zamknąwszy drzwi, zapytał ks. wikary:

— Cóż nie wiecie nic, ojcze?

— Cóż takiego mój synu, może nieszczęście jakie?

— Niech nas Bóg obrania; właśnie że przeciwnie; niespodziewana nam radość jakby z nieba spada. Oto wyobraźcie sobie ojcze kochany, nasz dawny pan...

— Co?!.. co?!.. wykrzyknął Maciej...

— Żyje, dokończył ks. wikary.

— On żyje... nie nie to być nie może, a gdzieżby on był?... gdzież on jest?

— Już niedaleko nas może i za parę dni go ujrzymy. Tu wyciągnął ks. wikary z kieszeni gazetę i z niej czytał zdziwionemu i rozradowanemu ojcu że pan, którego za nieboszczyka mieli, w rzeczywistości nie zginął. Rzecz tak się

miała. Podczas bitwy kulą ugodzony padł, i ztąd powstała wieść, że zginął, którą to wieść stryj skwapliwie pochwycił i na jej podstawie wioskę zagarnąć pragnął. Tymczasem po bitwie, mniemanego nieboszczyka Moskale znaleźli mocno rannym na placu boju, zabrali go ze sobą, z ran wyleczyli, a potem w daleki Sybir, na ciężką niewolę zagnali. I słych o nim zaginął, bo to Sybir kraj ogromnie odległy, tam aż w Azyi na północy, wsród lodów i wiecznej zimy. Tam długo biedował pan Zarański, ani wieści nie mógł dać o sobie, ani sam z nikim się porozumieć, a o powrocie to ani myśli było, bo chociaż to on austryacki poddany, ale u Moskala tak, jak kogo raz w Sybir zagna, a nikt się o niego nie upomni, to do śmierci będzie w niewoli.

Ale Pan Bóg dobry czuwa nad ludźmi nieszczęśliwymi i swego Anioła im zesyła opiekuńczego. Takim Aniołem opiekuńczym dla nieszczęśliwych więźniów Sybirskich jest kapłan cnotliwy z Kolbuszowy, ks. Ruczka. Wszak niejeden z nas go zna, a każdy czytał, lub słyszał o nim, jak to on dowiaduje się o tych nieszczęśliwych, z ojcowską troskliwością, i wyszukuje gdzie który w jaki kąt Sybiru zasłany, i listy od rodzin i pieniądze przesyła, i przez posłów Austryackich w Warszawie uwolnienie wyjednuje. Otóż ten zacny ks. Ruczka dowiedział się także i o naszym panu Zarańskim, i zaraz poczynił kroki by go uwolnić. Później na wiosnę tego roku gdy mu się to rzeczywiście udało i nasz pan Zarański do kraju już powracał, umieścił ks. Ruczka nazwisko jego w gazecie pomiędzy powracającymi.

— A niech mu Pan nagrodzi temu księdzu poczciwemu, wyrzekł w końcu Maciej, że to on paniska mego z niewoli wyrwał; toż to radość na moje stare lata, że jeszcze kochanego pana mego ujrzę! toż to Pawełek będzie szczęśliwy, że ojca swego otrzyma.

I płakał z radości poczciwy Maciej. Długo jesze potem z synem mówili, i uradzili wspólnie, aby Pawełka, który o niczem jeszcze nie wiedział, powoli na tę radość przygotować a potem, w dzień przyjazdu ojca, do wioski sprowadzić.

A w dworze widoczny był ruch wielki, coś tam pakowano, jakby kto w podróż się wybierał. Stryjaszek niespokojny

latał po dworze, co chwila przez okno wyglądał, czy już nie przyszedł na niego sąd za złe sprawki, i zdanie rachunku.

V.

Nadszedł nareszcie dzień przyjazdu pana Zarańskiego. Uwiadomieni przez Macieja gospodarze wyszli processyą z chorągwiami naprzeciw powracającemu. Przystrojeni w odświąteczne szaty poważnie kroczyli na powitanie pana, co to z takiej niewoli, to tak jak z drugiego świata wraca.

Przed wsią stanęli wszyscy i oczekują. Maciej co chwila podbiega i patrzy po gościńcu, i wąs targa, bo niecierpliwy radby co prędzej pana zwitać.

Nareszcie wpada na spienionym koniku chłopak, którego na zwiady wysłali; wpada z okrzykiem: Już pan jedzie!

I za chwilę tuman kurzu podniósł się na gościńcu, — zadudniało, zaturkotało i ukazała się bryczka jadąca do wsi. Poczciwi włościanie uszykowali się, i gdy bryczka między nich wjeżdżała jednogłośnie krzyknęli: niech żyje nasz pan!

Maciej wyszedł z chlebem i solą starodawnym obyczajem naszym, i witał pana, i mówić chciał, ale łzy mu nie dały; rozpłakał się tylko starowina jak dziecko z radości. Pan Zarański wyskoczył z bryczki, i nuż witać wszystkich, a Macieja to obcałował na wszystkie strony, i obaj długo w wspólnym uścisku stali: obaj bez mowy, bez jednego słowa, łzy tylko im płynęły z ócz, łzy radości po tak długiem, boleśnem rozłączeniu.

Wreszcie wyrwał się Maciej, i rzekł:

— A oto patrz jegomość mój kochany, taż tu syn jegomości, a jegomość nie patrzy, ta starego wita.

— Syn mój! gdzie Pawełek, gdzie on...

Wtej chwili Pawełek rzucił się w objęcie ojca. Tej chwili, tego powitania opisać nie sposób; to trza samemu czuć, jak serce bije, jak pierś się rzuca, po tak długiem niewidzeniu, po takiej rozłące... Gospodarze rozczuleni tem powitaniem okrążyli ich wieńcem a oni długo, długo we wzajemnym leżeli uścisku.

Nareszcie ocknął się pan Zarański i rzekł:

— No, chodźmy teraz do dworu, chodźcie moi kochani sąsiedzi to wspólnie się poradujemy.

Na to poskrobał się w głowę stary Maciej, i chciał coś mówić, i nie śmiał, nareszcie wyrzekł:

— Możeby też Jegomość na dziś do mnie zagościli, aż tam jaki porządek zrobimy we dworze...

— Jakto, dlaczego? przecie to mój dwór.

— Ej bo widzi jegomość, ten jegomości brat, to to jakiś, z przeproszeniem inaki człowiek...

— Przecież on mojem dobrem rządzi, przecie przez ten czas tu gospodarować musiał, i Pawełka wychował...

— Już co to, to nie, odrzekł Maciej i zawachał się dalej mówić...

Na to wystąpił Pawełek i powiada:

— Oj Ojcze, ciężka to dola była ze stryjem... on bardzo mię źle traktował, że i wytrzymać nie mogłem... aż Bóg dał innego opiekuna.

— Któż się tobą zajął?...

— Oto moi opiekuni, wszyscy tu zgromadzeni, oni moimi ojcami najlepszymi, oni mię od stryja wyrwali, i do szkół dali i na mnie łożyli, ci wszyscy tu: cała wioska.

— Wielki Boże! czy być może? toście wy moimi największymi Dobrodziejami! wyście moje dziecko od zagłady chronili? wyście je uratowali?... Macieju mój, Macieju, Bóg mię powrócił, Bóg mi takiego szczęścia użyczył a w końcu takich przyjaciol dał, ha dzięki ci Boże! całe lata nieszczęścia niczem mi już teraz, kiedy takie serca znalazłem.

A gospodarze przystąpiii do swego pana i płakali na wpół z radości, ta radość tego ojca to ich szczęście, to chwila jakby z nieba dla nich w nagrodę ich dobrego serca. Ten wzdycha, ten znów łzy rękawem uciera, a wszyscy weseli, szczęśliwi, jakby się nowo na świat narodzili.

Wtem kolasa pędzi ze wsi, a tłumaków na niej pełno, i pakunku przeróżnego — to stryjaszek na wieść o powrocie pana Zarańskiego, ucieka ze swojem niedobrem sumieniem; on wie, że rachunek go czeka, to też czem prędzej się wynosi. Tu mu zabiegli drogę wieśniacy i krzyczą: czekaj, czekaj, przywitaj się, porachuj, zdaj sprawę...

Przestraszony stryjaszek stanąć kazał, i nuż witać, nuż przepraszać, słów znaleść nie mógł, tak mu sumienie język

w gębie plątało. Ale pan Zarański jakoś nie zbyt gniewny wyrzekł:

— Idź, idź, jedź szczęśliwie zkąd przyjechałeś, niedobry bracie... wiem o twoich sprawkach ale dziś dzień szczęścia dla mnie, to ci przebaczam. A was moi przyjaciele i sąsiedzi kochani proszę do dworu ze sobą, chodźmy się wspólnie powe- selić.

I poszli wszyscy. Pan Zarański uszczęśliwiony kazał pozastawiać stoły i świetną wyprawił ucztę. Bawili się wszyscy ochoczo. Pod koniec uczty przemówił pan Zarański do wszystkich:

— Za wasze dobre chęci trudno wam dziękować moi ukochani bo trudno i słowa dla was wynaleść Czyn wasz, wasze miłosierdzie nad moim Pawełkiem to więcej warto, niż proste słowa podziękowania. Sercem z wami będę się dzielił bracia moi, starać się będę osobno każdemu z was odwdzięczyć. Daj Boże, by w całej naszej ziemi takie były poczciwe ludziska, takie serca złote. Bóg wam zapłać, bo mnie nie stać na to. A tymczasem raczcie małą odemnie przyjąć pamiątkę. Oto dochód cały z sąsiedniej wioski, co także do mnie należy, przeznaczam i odkazuję na wieki na waszą własność. Połowa z tego dochodu niechaj idzie na fundusz dla tych z was, co podupadną, co pogorzeją: na zapomogi, dla wdów waszych i sierót. A druga połowa niechaj będzie przeznaczona na to, aby kilkunastu z synów waszych mogło w mieście się uczyć, tak jak mój Pawełek za wasze pieniądze. Od dziś niech tą wioską gmina zarządza: wam ją darowuję.

— Niech żyje nasz pan! krzyknęli włościanie, niech długo żyje w szczęściu wraz z paniczem naszym.

— Niech żyje pan nasz, niech żyje gromada nasza! krzyknął Walenty Burczymucha, co go to znamy z początku opowiadania i niech żyje nasz Maciej, hej, hej, Maciej nasz stary, co go to Bóg tak dobrze natchnął...

Muzyka zagrała ochoczo i wśród tańców i wesołości zakończono ten dzień szczęśliwy.

Stach ze Lwowa.

Jan III. w Jaworowie.

Wkrótce po świetnej wyprawie pod Wiedeń, gdzie to Polacy z królem Janem Sobieskim tak walecznie Turków pobili i Chrześciaństwo uratowali, król bohater z całą rodziną przybył do Lwowa, udając się potem do Jaworowa, majętności swojej, gdzie lubiał najczęściej gościć.

Po drodze do Jaworowa zajeżdżał król Sobieski na zamki panów; chętnie też odwiedzał dworki szlacheckie; gdzie zaś kościół lub klasztor napotkał, stawał dla słuchania mszy świętej, mówiąc do przytomnych: „Nie schodźcie Panu, dawcy zwycięztw, z drogi.“ i składał wota i ofiary na podziękowanie za zwycięztwo Matce Boskiej, którą za osobliwą patronkę w pacholęcym jeszcze wieku był sobie obrał, i do której osobne odprawiał nabożeństwo.

Z każdą chwilą zmniejsza się wojenny orszak króla w tej podróży, bo rycerstwo spieszyło do zagród rodzinnych, i jaki taki chciał się przed swojemi pochwalić, jako żyw i dobrze zasłużony do ojczyzny powraca. Natomiast przybywała szlachta okoliczna w domu pozostała powiększając orszak królewski. Błogo, uroczyście, radośnie jak błogosławieństwo ojcowskie rozchodziła się wieść o zwycięztwie po kraju, zdawało się, że spokojne, ciche, srebrne fale Wisły z pod gór słały pieśni aż ku Warszawie i Wilnu. Cała Polska też spieszyła na powitanie zbawcy chrześciaństwa, a wszędzie głośny to był pochód, rzewne i serdeczne przyjęcie. Z chlebem i solą witały króla gromady po gościńcach, z kościelnemi chorągwiami i z święconą wodą wychodzili księża, bito po kościołach w dzwony, a z wałów po zamkach z moździerzy na cześć królowi Sobieskiemu, którego berłem była po staremu buława hetmańska.

Tak przybył król do Jaworowa, gdzie jeszcze tegoż samego dnia była uczta wielka we dworze. Pod sam już wieczór po objedzie, przyszła gromada z Podzamcza z chlebem i weselem.

Wójt jaworowski miał śliczną przemowę do króla i ofiarował mu od swej gromady pług, bronę, wóz i sześć siwych wołów, które z całym tym przyborem na dziedzińcu już stały.

Kończąc zaś swoją oracyą, rzekł: „A żeście się miłościwy Panie! pono potracili na wojnie, otóż bez urazy Waszej daje tu Wam przezemnie gromada statek kmiecy na zapomogę, bo za statkiem Panie idzie i dostatek.“

Król przyjął chleb, narzędzia i woły od wójta, a królowa kołacz i wieniec; pocze n rozpoczęto tany. W pierwszą parę poszła królowa z wójtem, a w drugą król ze starościną wesela.

— A czyjażeś moja rybko? pytał król, biorąc ją do tańca.

— Kowalowa, Panie nasz! odpowiedziała hoża kobieta.

Poszli tedy wszyscy w taniec, a za nimi pańskim wzorem pany z czeladzią, a panie z kmieciami. Król Jan nabrawszy szczerej ochoty, i by swój ludek pracowity rozradować, krzyknął teraz na kapelę: „Nuż teraz raźnego,“ i wysunął się naprzód, wybijając w podkówki z krakowska. Obszedłszy taniec do koła, stanął przed kowalową i zaśpiewał:

A z kądżeś ty? — z Jaworowa!
I czyjaś to? — Kowalowa!
Kowalowa z końca,
A chodźże do tańca.
Kowalowa, Bóg daj zdrowa!
Bóg daj zdrowa, kowalowa!

i rzeźkim pląsem posunął dalej na czele szczęśliwej drużyny.

Na zakończenie zabawy darował Jan Sobieski gromadzie wszelkie daniny, a wójtowi i kowalowi po sołtystwie; i pozwoliwszy ucałować swoją rękę wiernemu ludowi, rozstał się z nim jak ojciec z dziećmi.

Złote ziarna.

Pan Bóg człowieka
Pociesza w niedoli
I ulgi pozwoli,
I z pomocą czeka.

Dla dobra bliźnich nie oszczędzaj siebie,
A Bóg cię za to wynagrodzi w niebie.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza